

Legendarna  
felietonistka  
z Londynu - Krystyna  
Cywińska.



**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Przez szereg dekad “polski Londyn” delektowało cięte pióro zadziornej felietonistki Krystyny Cywińskiej. W “Dzienniku Polskim” i “Tygodniu Polskim” brylowała jej ironia i dociekliwość. Zawsze uważałem, że brakować nam będzie smaku specyficznej atmosfery “polskiego Londynu” bez wyboru felietonów Krystyny. Ona, niestety, nie zabiegała o to i dziś tylko zachowane, pojedyncze egzemplarze pisma radują naszą duszę. Patrząc na jej felieton “Ojczyzno, gdzie jesteś?” sprzed wielu lat. Wtedy to “Polityka” publicznie spytała dlaczego emigranci nie wracają, a przecież byliby potrzebni. Zacytowała odpowiedzi kilku bardziej znanych ludzi z emigracji. Mroźek przebywał

wówczas w Meksyku. Jego głos brzmi teraz jeszcze donośnie i warto go przypomnieć, bo nadal daje do myślenia.

Krystyna Cywińska przypomniała, że Mrożkowi “przedwojenne wartości, tak mu bliskie, zniszczyło pięć lat okupacji i czterdzieści parę lat komunizmu. Z okupacji naród wyszedł poraniony fizycznie, pokrzywiony moralnie, a przede wszystkim śmiertelnie zmęczony. A komunizm jego zdaniem “uruchomił w Polsce chama”. Tego prawdziwego, naturalnego, który z pochodzeniem społecznym nie ma nic wspólnego.

Jego definicją jest arogancja, absolutna pewność, że mu się wszystko należy, a nic go nie obowiązuje, więc wszystko należy mu się za nic. W Polsce przedwojennej – pisze Mrozek – nie było motłochu, nawet lumpenproletariat, nawet świat przestępczy miał jakieś swoje reguły gry, kodeksy i poczucie honoru. Była ciemnota, ksenofobia, niezgulstwo, ale chamstwo – nie. Cham nie był w modzie. Dopiero komunizm wyzwolił chama. Zniszczył społeczeństwo, które go kontrolowało i zastąpił je państwem, które nic nie miało przeciwko chamowi, jeśli cham nie miał nic przeciwko niemu... Komunizm odszedł, cham pozostał.

**O Krystynie Cywińskiej:**

<https://www.cultureave.com/felietonistka-z-pazurem/>

---

Z pustych serc  
w próżną formę



fot. cgtrader.com

## **Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Nie raz już zastanawiano się nad problemem twórczego pisania poza krajem, z dala od polskiego społeczeństwa. Nie chodzi o czasowe pobyty pisarza za granicą, ale o Polaków stale przebywających poza ojczyzną. Wystarczy spojrzeć na same tytuły artykułów i antologii, aby zdobyć niezłą orientację w materii: „Mowa bez ziemi”, „Ryby na piasku”, „Opisanie z pamięci”, „Cena wolności” itp. Te nagłówki dostatecznie mówią o anormalnych warunkach piszącego na emigracji w ojczystym

języku. O ile jest zrozumiałe i naturalne, że pisarze wyrzuceni z ojczyzny przez kataklizm historyczny i nie mogący z powodu sytuacji politycznej do niej powrócić, piszą dalej, kontynuują swoje powołanie artystyczne czy naukowe, o tyle dorastająca za granicą młodzież jest w innej sytuacji. Kiedy młody człowiek podejmuje pióro, nawet we własnym kraju w normalnych warunkach, robi krok pełen ryzyka. Jest on szansą, a może się stać wielką przygodą. Debiutant musi opanować narzędzia swego fachu, umieć przekonać do siebie kolegów, znaleźć odbiorców. Jeżeli ma talent, czuje gust czytelnika, to startuje pod pomyślnymi znakami. Debiut wśród obcych w mało znanym otoczeniu bez zapewnionych czytelników jest zupełnie inną propozycją.

Takie trudne początki miała grupa młodych Polaków, która w latach pięćdziesiątych znalazła się w Anglii, precyzyjniej: w Londynie. Na przykładzie ich terminowania, najpierw w Kole Polonistów, a następnie w redakcjach pism studenckich „Życie Akademickie”, „Merkuriusz Polski” i „Kontynenty” można obserwować ich początki. Trzeba na wstępie zaznaczyć, że byli oni dziećmi, kiedy wybuchła wojna, najstarszy z nich liczył czternaście lat. Języka polskiego douczali się w sowieckich posiołkach, w obozach wojskowych, na pracach rolnych. Nie była to szkoła najlepsza.

Równocześnie poddani byli interferencji języków obcych z

angielskim na czele, który był nie tylko językiem społeczeństwa, z którym związali swoje losy, ale zwycięskim medium, które podbijało wszystkie kontynenty stając się bezspornym językiem światowym.

U tych młodych, mimo rozległych perspektyw, jakie ukazywał język angielski, zwyciężył jednak język polski, niedouczony, taki jakim władali, jako język pierwszy i kulturowo decydujący. On się stał materia ich pisarskiej twórczości. Układając po polsku pierwsze wiersze czuli, że weszli na niezmiernie uciążliwą, ale właściwą i jedyną drogę.

Normalną kolejną sprawą, powinni się byli uczyć od swoich starszych kolegów o przedwojennym dorobku i kontynuowanej twórczości, a nie brakowało ich w stolicy Wielkiej Brytanii, w której schronił się legalny rząd i powstały liczne placówki dające poczucie namiastki państwa, również instytucje kulturalne jak uniwersytet, dynamiczna biblioteka, teatr, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, bogata prasa i szereg domów wydawniczych. Logiką nowego pokolenia nie poszli w ślady starszych, bo kierunek wytyczony przez nich nie był dla debiutantów atrakcyjny. Młodzi czuli się inni, mieli tylko ograniczoną pamięć ojczyzny, a już byli po części z Zachodem zżyci.

Z początku funkcjonowali jako dziwny fenomen, *curiosum* zgoła

na polskiej scenie. Ale w miarę jak szli dalej własną drogą, nie potrzebowali wskazań innych, odezwały się głosy niezadowolenia i cenzury. Krytykowano szczególnie ich twórczość poetycką.

Poezja współczesna nie ma czytelnika. Trudno jest powiedzieć czy to z winy samych poetów, którym się zarzuca odejście od człowieka, czy należy zapisać to na karb elitarności poezji wymagającej zbyt wiele od odbiorcy, czy wreszcie winić ducha czasu objawiającego się w innych mediach. Można oczywiście kroczyć wśród epigonów i „podoać się” mało wybrednemu audytorium, ale to nie każdego zadawała. Oryginalność i nowatorstwo są zawsze trudne i ci, którzy im hołdują, płacą wysoką cenę w postaci braku zrozumienia i popularności. Nie mniej stanowią one wyzwanie raz po raz podejmowane. Nie inaczej było z poetami londyńskimi, o których mowa. Zarówno ich niegodzenie się z zastanym, jak i brak pisarskiego doświadczenia i w rzeczy samej nikły dorobek oraz zbyt schematyczne określanie swojej postawy, sprawiły, że byli w swoim czasie celem ataków starszych pisarzy.

Potykał się z nimi solidnie w polszczyźnie osadzony **Zygmunt Nowakowski** (1891-1963). Nie rozumiał rozterki młodych w wyborze języka. Pasował ich łaskawie na biegłych praktyków przewidując, jak się miało okazać, trafnie, że mimo odgrażania się, przy języku polskim pozostaną. Natomiast **Jan Rostworowski** (1919-1975), poeta popularny, którego lubiane



wiersze zapełniały sale, zgłosił zasadniczy sprzeciw. Dla niego już sama myśl, samo podawanie w wątpliwość sensu tworzenia na uchodźstwie w języku polskim, było herezją. Jego schronienie się w mowie, którą znał znakomicie, było szczęśliwsze od sytuacji młodych, ciągle jeszcze terminatorów, których wabiły różne perspektywy i nęciły szanse na opanowanie bardziej przydatnego języka.

Jan Rostworowski był znacznie od Zygmunta Nowakowskiego młodszy i wiekiem i wykształceniem zbliżony do grupy młodych poetów. Nie dostrzegał jednak ich problemu, jaką była niezgoda na tematykę i formę pisarstwa starszych kolegów. Widział w niej po prostu chęć odejścia od człowieka, w tym wypadku od człowieka emigracyjnego i ochotę służenia sztuce dla sztuki. Dziwił się, że młodzi, którzy w lwiej części nie posiadali biografii wojennej, zainteresowani byli tematyką odmienną i przewrotnie lekceważyli symbole swoich ojców, którzy dopiero co wyszli, dotkliwie doświadczeni, z kataklizmu wojennego. Zawieszeni między niemożnością podążania wydeptaną ścieżką a dramatem przypisania do języka pozbawionego konkretów i rzeczywistości, którą wyrażała, jasno widzieli swoją niepewną przyszłość. Chcieli wyjść na pisarzy, mierzyli wcale wysoko nie mogąc liczyć na czytelnika, który im będzie towarzyszył, odrzucali równocześnie epigoństwo i twórczość okolicznościową, pisarską polonijność w sensie zamkniętych horyzontów, taryfy ulgowej i braku ambicji.

Rostworowski dostrzegał jedynie odżegnywanie się od losu grupy wychodźczej dla pustego hołdowania czystej twórczości. Dlatego przepowiadał „palec piszący na ścianie 'mane tekel fares' ich artystycznej porażki”. Dziwiło go, że młodzi nie przewidywali sukcesów, że spodziewali się pustki. Sami ją wytworzyli i dlatego byli dla niego ludźmi osobliwymi, trochę z innej planety, ludźmi, którzy znaleźli się mimo woli w skomplikowanej sytuacji.

Wolność mają. Wolność – że zapożyczę się u Miłosza – przed strachem zniewolonego umysłu. I to ich tu trzyma. Na jak długo? Trudno przewidzieć. Może dopóty, dopóki strach przed próżnią nie okaże się silniejszy niż strach przed zniewolonym umysłem.

Taki los przepowiadał wiele lat temu poeta wówczas mocno osadzony na emigracji, wzięty i celebrowany liryk. Czy później miał jakieś wątpliwości, co do swojej prognozy? Bo „strach przed próżnią” okazał się jednak słabszy. Młodzi, o których pisał tak namiętnie, postarzeliby się na emigracji, za to Rostworowski wrócił do Polski. Wyroki przyszłości są niezbadane, ale prywatne decyzje zasługują na szacunek. W cytowanym już artykule (*Haracz wolności, Tydzień Polski, 11.03.1961*) poeta krakowski pomówił nas ponadto, że uciszyliśmy w sobie „teologiczny dialog” i że przelewamy „z pustych serc w próżną formę”. Dlatego, zdaniem autora, z tym bagażem nie wnijdziemy do

Królestwa.

Wyrokowanie o zbawieniu bliźniego jest czynnością pochopną. Chcę wierzyć, że także w tym wypadku nasz krytyk nie będzie miał ostatniego słowa.

---

# Polska mgła w Londynie

**Leszek Żuliński**

Z pewnym opóźnieniem trafił ten tomik do moich rąk, ale warto o nim cokolwiek napisać i przede wszystkim nagłośnić mało znaną w Polsce autorkę, która od lat mieszka w Londynie. Tutaj zresztą, w Polsce, wydała kilka swoich tomików. W Londynie jest aktywna - współredaguje tam pismo „Pamiętnik Literacki”; należy do miejscowego Pen Clubu. Debiutowała tomikiem pt. *Dziewanna* (1985), ma także sporo innych publikacji, także tomiki wydane w języku angielskim. Jednym słowem, Mickiewicz

żyje literaturą. M.in. jest laureatką medalu Gloria Artis.

Zawsze mnie intrygowało, jak po wielu latach emigracji można pisać wiersze do głębi nasiąknięte polską dykcją. U Pani Anny Marii Mickiewicz jest to całkowicie naturalne.

U niej między kanałem La Manche a Wisłą odległość wciąż jest malutka. Oto wiersz pt. *Wieczorami śnię*:

Widzę tańczące dziewczęta

Rozległe bagniska

Wśród łąk

Ktoś śpiewa na Białorusi...

Zamarznięty obraz dzieciństwa

Zatrzymany

Jak w szklanej kuli

Jeżeli wrócę w rodzinne strony

Boję się, że sen ucieknie.

Sentymenty przeszłości są jednym z budulców tych wierszy. Ale nie tylko one. Autorka często nawiązuje do swoich egzystencjalnych spleenów, jak w tym wierszu pt. *Buty*:

Spotykam ludzi

Obserwuje ich buty

Zdarzają się ciche

I te schodzone

Nie świadczą o zamożności

Niby wygodne

A ograniczają

Wybieramy te, które przeszły wiele mil

Wybieramy naszą własną cichą drogę

Odchodzenia

Przechodzenia przez życie

Wędrowki w kierunku zachodu słońca

Ale nigdy poranka...

Anna Maria Mickiewicz została wyróżniona zaszczytnym tytułem Autorki Roku 2013, nadanym przez amerykański portal literacki „miasto literatów 2000+”, z siedzibą w Orlando. A oto fragment uzasadnienia nadania tytułu:

„Nadajemy Autorce tę Nagrodę przede wszystkim w uznaniu dla wierszy – ich bogatych wartości literackich. Urzekły nas indywidualne doświadczenia, emocje poetyckie opisane z uczuciowością, ale bez narzucania ocen, wkomponowane w rzeczywistość, w czasoprzestrzeń – tak dyskretnie, że nikt nie będzie zmieniał poezji w politykę. [...] Świat w czasie i przestrzeni jest jak wielki dywan z wzorami platońskich idei i ciętmi łączącymi ludzi i wydarzenia. I na pytanie: Dlaczego Anna Maria Mickiewicz? – odpowiemy metaforycznie: w uznaniu dla dywanu”.

Anna Maria Мицкевич бе отличена с почетното звание „Авторка на 2013 година”, дадено от американския литературен портал „Градът на писателите 2000+” със седалище в Орландо. Ето фрагменти от мотивировката за присъденото почетно звание:

„Даваме на авторката тази награда преди всичко в знак на признание на богатите литературни стойности на нейните стихотворения. Очароваха ни индивидуалните опити, постигнати чувства, изображения с добросъвестност и без натрапване на преценки, свързани с действителността, с време-пространството така дискретно, че никой не би могъл да промени поезията в политика. [...] Светът във времето и пространството прилича на голям килим с шарки от платонически идеи и нишки, свързващи хора и събития. И на въпроса: „Защо именно Анна Мария Мицкевич?“ – ще отговорим метафорично: „Заради нейния гъстър поетичен килим.”



Anna Maria Mickiewicz poetka, eseistka urodzona w Polsce, od lat mieszka poza granicami kraju, początkowo w Kalifornii, obecnie w Londynie. Najciekawsze z artykułów złożyły się na tom „Okruchy z okrągłego stołu. Polskie impresje z lat 1989-1995” (Lublin: Norbertinum, 2000). W 1985 roku opublikowała debiutancki tom wierszy *Dziwanna* (Galeria Słowa). Ponownie, w wydaniu rozszerzonym, został zaprezentowany pod zmienionym tytułem *Proscenium* (Norbertinum 2010). W 2014 roku opublikowała anglojęzyczny tomik *London Manuscript*.

[www.faleliterackie.com](http://www.faleliterackie.com)

Anna Maria Мицкевич е поетеса и есеистка, родена в Полша (гр. Люблин). От доста време живее в чужбина – отначало в Калифорния, по-късно – в Лондон. Най-интересните от тях са събрани и издадени в книгата „Трохи от кръглата маса. Полски импресии от 1989 до 1995 г.” (изд. „Норбертинум”, Люблин, 2000 г.). През 1985 г. публикува дебютния си поетически сборник – „Диван” („Дзіванна”) във варшавското независимо издателство „Галерия на Словото” („Galeria Słowa”). Второ, допълнено издание на тази книга, под заглавие „Авансцена” („Proscenium”), се появява през 2010 г. През 2013 г. англоезичната творба „A Grey Coat” спечелва международния поетически конкурс, организиран от британското издателство „Poetry Space”, а през 2014 г. същото издателство публикува на английски език книгата ѝ „Лондонски ръкопис” („London Manuscript”).



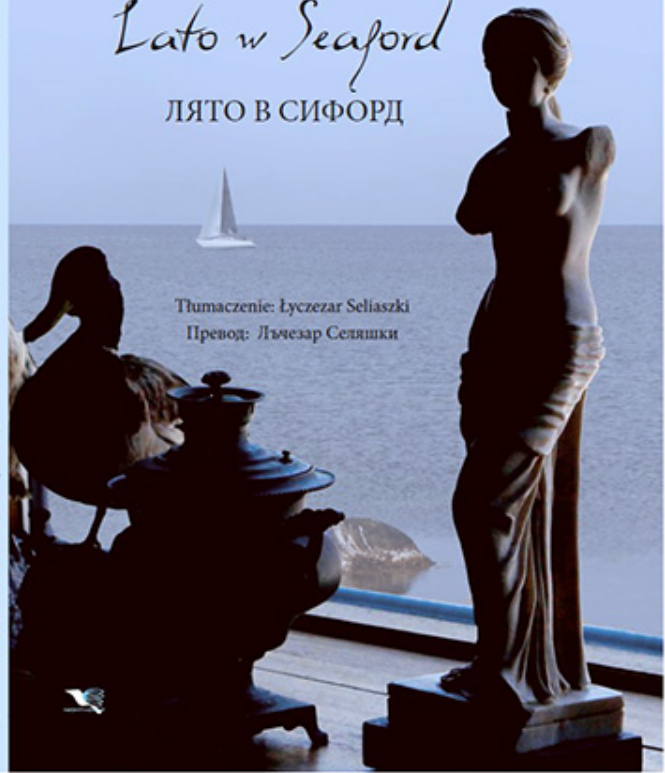
Anna Maria Mickiewicz ANNA MARIA MIKIEWICZ *Lato w Seaford* ЛЯТО В СИФОРД

Anna Maria Mickiewicz  
АННА МАРИЯ МИЦКЕВИЧ

*Lato w Seaford*

ЛЯТО В СИФОРД

Тлумачение: Лъчезар Селишки  
Превод: Лъчезар Селяшки



Znalazłem tu nawet „ważny wiersz” pt. *Trzynastego Grudnia*:

Wyniośle zacisnąć wargi

Na jak długo?

Parują stawy w lesie

W stronę dalekiego domu

Dym zaciera pole widzenia

Porządek świata

Wzywa pomocy

Rozpadły się słowa „Wywrotowca”

Wywietrzały

jak stara szafa

Niczego nie przypominają żółte kartki

Pod palcami



Lód znaczeń

Runie cesarstwo

Ot tak

nie będzie nawet kartek.

A więc Poetka zatrasnęła się nie tylko w czystym liryzmie.

Zawsze wydawało mi się, że pisanie wierszy na obczyźnie siłą rzeczy bywa najczęściej z lekka anachroniczne. Po raz kolejny widzę, jak pamięć i język nie murszeją, nie umierają. Bo język jest wciąż ten sam: to kod naszego istnienia! Jego trwałość jest niezniszczalna.

No i na koniec zacytuję wam wiersz zgoła uniwersalny, który zresztą posłużył na tytuł tego tomiku. Jego tytuł: *Lato w Seaford*:

Słońce zrzuca złote krople

Morze pozera je natychmiast

Niebo lśni

Dzień jest nierealny,

Wyrwany z innej opowieści.

Dojeżdżamy.

Kończą się tory.

Przekonujemy się o złudności nieskończonej przestrzeni...

Przechodzimy przez angielskie miasteczko.

Mała stacja,

Tynk odpada nierównomiernie z drewnianych podpór

przed nami ocean mieni się groźnie.

W oddali żółty klif

Wbija się ostro w morze

Nie ma frytek, lodów waty na patykach,

Ciała meduz błyszczą na kamieniach.

Dzień mija ospale,

Szara sylwetka statku.

Na plaży ludzie rozkładają:

Płócienne leżaki, Pomarszczoną skórę.

Jak widzicie: czy w Londynie, czy na Ziemi Ognistej nie tracimy

kodu języka, z którego się wywodzimy. Anna Maria Mickiewicz zasługuje na mocniejsze usadwienie się w naszych lekturach.

Jednego tylko tu nie zrozumiałem... Otóż wiersze w tym tomiku mają także swoją wersję bułgarskojęzyczną (w tłumaczeniu Łyczczara Seliaszki). Nigdzie nie znalazłem notki o tym dlaczego ta wersja. Ale i dobrze: może enklawa bułgarska zapozna się z odrobiną polskiej poezji?

**Anna Maria Mickiewicz, *Lato w Seaford*, Wydawca: Alicja Kuberska, Inowrocław 2017, s. 60.**

---

**Bolesław Kobrzyński –  
autor wierszy**

# wojennych



**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Maria Danilewicz Zielińska głosując za kandydaturą Bolesława Kобрzyńskiego do nagrody Kościelskich, nazwała go

autentystą, autorem wierszy wojennych... korzystnie odcinających się od tradycyjnych wierszy wojennych pisanych przy biurku przez przysięgłych cywilów.

Urodzony w 1914 roku, a zmarły w Anglii w 1988 roku poeta walczył we wrześniu 1939 r., a potem pod Tobrukiem, Monte Cassino i Anconą przyplacając wojaczkę dożywotnim pobylem w szpitalach angielskich. Jeszcze jako podchorąży dywizjonu przeciw pancernego pisał:

Jak rzewnych fletów pieśń spokojna

Jak ponad miastem syren śpiew

Gdy wojna

Z naszych żył - wierszy płynie krew.

Odwiadziłem go w jednym z angielskich szpitali w Mabledon niedaleko Londynu zaproszony na literacki wieczór przez poetę Bronisława Przyłuskiego. W dyskusji wziął udział Kobrzyński okazując się wytrawnym znawcą poezji. Potem mnie odprowadził do autobusu. Wtedy dopiero zdradził swoje fobie i jasny stał się jego stan psychiczny. Wymienialiśmy przez szereg lat listy. Często przysyłał mi pięknie kaligrafowane wiersze i uwagi. Donosił, że wiele jego czystopisów złożono w Bibliotece Polskiej w Londynie. Czy tam się zachowają?



---

**Bolesław Kобрzyński** (ur. 27 grudnia 1914 roku w Osterfeld w Westfalii, zm. 29 grudnia 1986 roku w Horton w Wielkiej Brytanii) - polski poeta.

Pochodził z rodziny górniczej. Szkołę podstawową ukończył w wielkopolskim Trzemesznie. Studiował w seminarium nauczycielskim w Wągrowcu. W latach 1935-1936 szkolił się w podchorążówce w Brodnicy. Przed wojną pracował jako

nauczyciel. W 1939 roku został zmobilizowany i przydzielony do garnizonu rzeszowskiego. Po klęsce wrześniowej został internowany na Węgrzech. W 1940 roku przedostał się do Jugosławii, a stamtąd przez Liban do Syrii. Służył w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich. Brał udział w walkach o Tobruk, Anconę i na Monte Cassino. Otrzymał awans na stopień oficerski (porucznika). Pod Monte Cassino został ranny. Resztę życia spędził w szpitalu.

Laureat nagrody literackiej Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas” w Londynie (1950) i Nagrody Kościelskich (1976).

Pisał wiersze (między innymi *Kantyk do butelek z wodą*) i epigramaty. Jest autorem słów na pomniku pod Monte Cassino. Za jego sztandarowy utwór uważany jest *Wiersz o Tobruku*:

Paść i nie ulec, bronić się i natrzeć,  
Karabin podnieść i nabić go znowu  
I szukać wrogów wolą i rozpaczą  
W górze, na morzu, po fiordach i rowach.

*Na podstawie Wikipedii*



---

# Szacunek dla historii



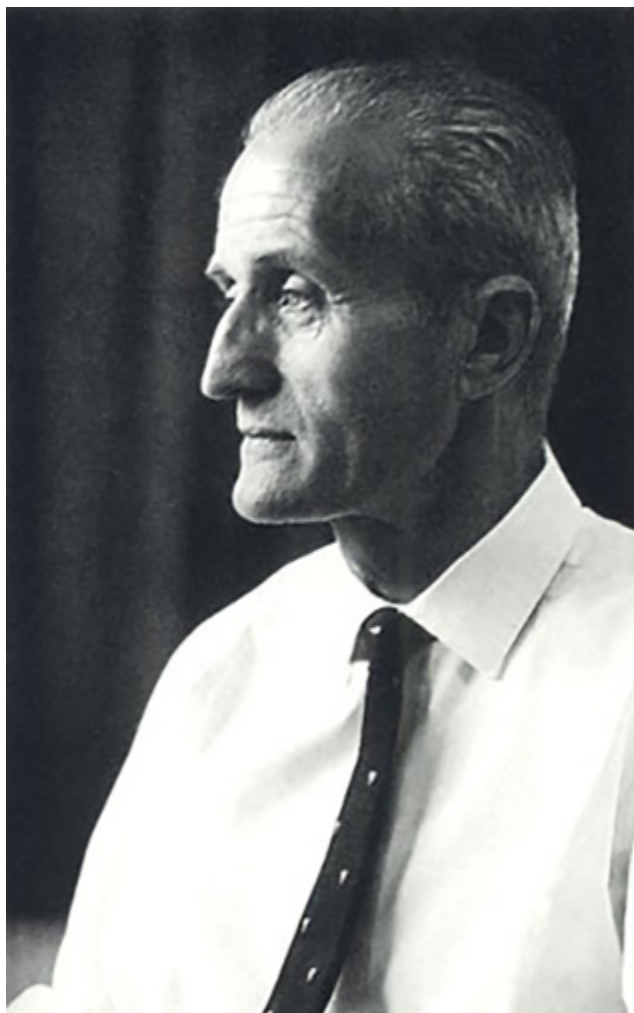
Józef Garliński z żoną Eileen, Londyn, lata 70. XX w., fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Historyk Józef Garliński (1913-2005) bezustannie przypominał

Anglosasom o polskim wkładzie w II wojnę światową. Dopominał się o uznanie zasług Polaków w rozpracowaniu niemieckiej maszyny szyfrowej Enigma, informował o nieznanym aspekcie obozu zagłady Auschwitz wydając książkę "Fighting Auschwitz" o organizowanym przez Polaków ruchu oporu, mającym za zadanie przechwycenie władzy w obozie w odpowiednim momencie.

Gdy zaproszony przez Klub Dyskusyjny do London, Ontario, przyleciał z Londynu, lokalna gazeta kanadyjska opublikowała ogromne zdjęcie jego przedramienia z numerem oświęcimskim, wywołując konsternację i wielką dyskusję.



Józef Garliński, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

Z czasem Garliński stał się instytucją, po upadku rządów komunistów w Polsce odwiedzał kraj z odczytami. Spotkałem go we Wrocławiu, w Anglii wręczył mi nagrodę literacką w 1991 roku. Długo piastował prezesurę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, był ambitny, ale także ofiarny i pracowity, a do społecznej pracy niewielu się paliło.

Po wielu latach urzędowania zastąpił go prof. Mieczysław Paszkiewicz, poeta i historyk sztuki, ale wkrótce zmarł i wtedy jego funkcję objęła poetka i długoletni wydawca Oficyny Poetów i

Malarzy, Krystyna Bednarczyk.

\*\*\*



Bohdan Jan Ejbich

Witałem sagę o polskiej eskadrze myśliwskiej 303 "A Question of Honour" Lynn Olson i Stanley'a Clouda kilka lat temu z entuzjazmem i miło mi, że gościliśmy autorów w Toronto i że ich

książka wydana została po polsku. Pamiętam jeszcze, że wystarczyło w owych czasach entuzjazmu dla polskich lotników – nosząc polski mundur wojskowy, nie płacono się za transport publiczny w Anglii.

Tę sławę polskich skrzydeł pomnażał także mieszkający w Toronto, a zmarły w 2013 r. w wieku 97 lat, inż. Bohdan Ejbich. Zapisawszy piękną kartę bojową, 44 loty bombowe, jako kapitan pilot po kilku latach w Anglii przeniósł się do Kanady, gdzie dał się poznać jako wiarygodny społecznik i autor ośmiu książek opowiadających o przeżyciach własnych, a także kolegów i towarzyszy, m.in. legendarnego płk. Bolesława Orlińskiego.

---

# Bronisław Przyłuski – poeta, dramaturg



# i człowiek teatru.



Londyn, Grosvenor House

## **Nina Taylor-Terlecka** (*Oxford, Wielka Brytania*)

Wirujące na balu emigracyjnym pary - zafraczeni panowie, tęczowe panie - mogą nie wiedzieć, że w głębinach gmazyska hotelu *Grosvenor House* w Londynie pracował po wojnie jeden z najsubtelniejszych i ciekawszych poetów polskiej emigracji politycznej.

Mowa o Bronisławie Przyłuskim, zawodowym oficerze Wojska Polskiego, dramaturgu, twórcy radiowym, aktorze. Mieszkając w

dzieciństwie w Siemierzu, w Tomaszowie Lubelskim, w Dołędze, w Świątnikach, w Małoszowie (uwiecznionym później w misterium bożenarodzeniowym), od maleńkości oglądał wszelkie wiejskie widowiska: topienie Panny w wiosennej kałuży, wianki i skakanie przez ogień na św. Jana, dożynki i Andrzejki. Znał jasełka grane w kuchni czeladnej na Boże Narodzenie, kolędników przychodzących z okolicznych wsi z gwiazdą, z turoniem, z szopką, a także „pasję wielkanocną z Piłatem i apostołami, i Judaszem, która co roku grana była na placu przed kościołem”.

Po szkole w Kielcach, Przyłuski uczęszczał do I Korpusa Kadetów we Lwowie, gdzie zdał maturę. Miał w dorobku już dwa tomiki poetyckie - *Badyle* (1932) i *Dalekie łąki* (1935), gdy wojna wybuchła. Jako żołnierz kampanii wrześniowej walczył pod bezpośrednim dowództwem gen. Kmicic-Skrzyńskiego (Brygada Podlaska) w ramach samodzielnej grupy operacyjnej „Polesie” gen. Kleeberga. Walczył pod wsią Dmochy, pod Michałkami, pod Domanowem, w okolicy Kocka i Stoczka, za co otrzymał Krzyż Srebrny orderu *Virtuti Militari* V klasy. Walczył do kresu, czyli do decyzji gen. Kleeberga o kapitulacji brygady i złożeniu broni w leśniczówce Ofiara (rejon Głowa). Wzięty do niewoli 6 października 1939 r. pod Kockiem, został wywieziony do oflagu VII A w Murnau, w górnej Bawarii.

Dzięki świetnemu, niezamierzonemu przez Niemców doborowi

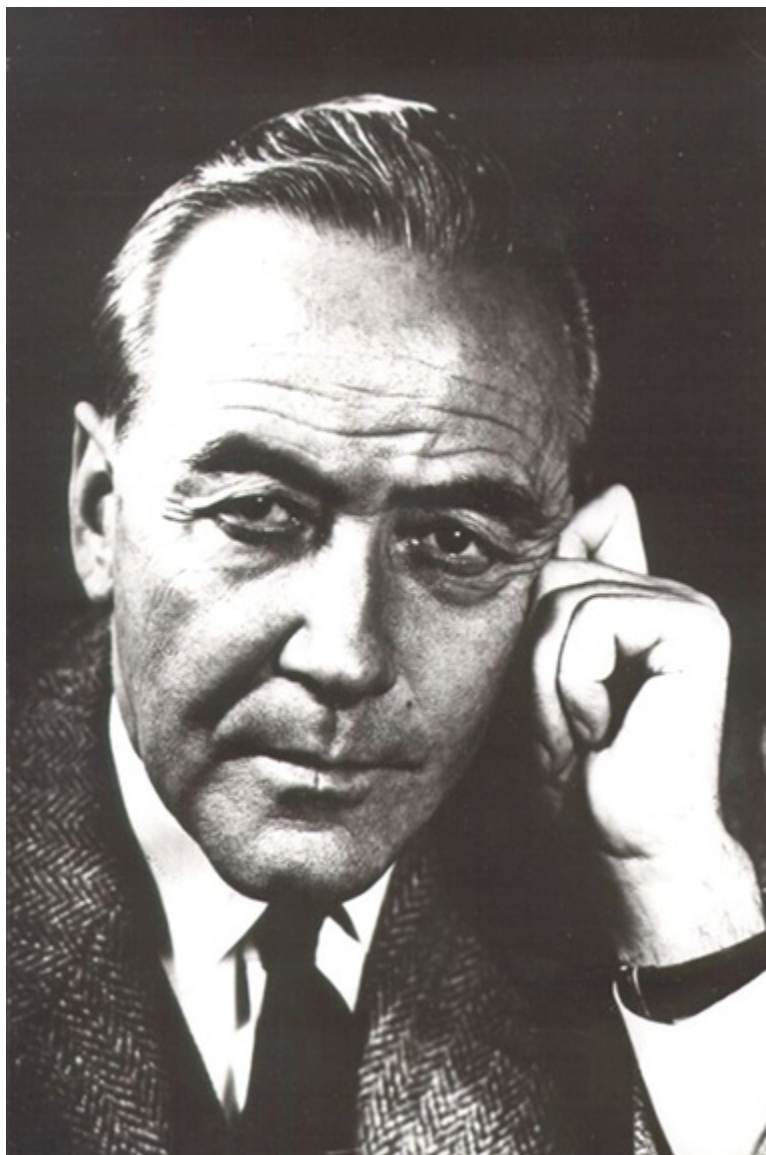
współwięźniów, Oflag VII A w Murnau okazał się bogatym tygłem wpływów, bodźców, inspiracji intelektualnych i artystycznych. Żeby bronić się przed załamaniem, jeńcy-oficerowie uprawiali kółka kulturalne, urządzali odczyty, prowadzili teatr amatorski, założyli też pismo pod nazwą „Teatr Obozów”. W takich warunkach Przyłuski znów porwał za pióro: dostarczał część do libretta operetkowego *Najukochańsza żona maharadży*, w której to operetce sam też grał, pisał rewie (*Sen, I to minie*) i skecze do widowisk muzycznych *Kapryśna Afrodyte* oraz *Kochaj i tańcz*. Przerabiał, parafrazował, dopasowywał do możliwości scenicznych obozu *Ptaki* Arystofanesa, *Kłopoty Babuni* Bolesława Prusa i komedyjkę P. G. Wodehouse’a *Panna czy rozwódka*.

Również spontanicznie, jak gdyby na wezwanie losu, został aktorem. Pierwsze kroki estradowe postawił najpierw w rewiach, potem w tzw. żelaznym repertuarze. Występował w *Zaczarowanym Kole* Lucjana Rydla, w fredrowskim *Gwałtu, co się dzieje!* i w *Domu otwartym* Bałuckiego. Ale jednocześnie nurtowały go inne, szeroko zakrojone, wątki i tematy. Gdy Leon Schiller pojawił się w Oflagu VII A (było to po upadku Powstania Warszawskiego), Przyłuski z kolegami wzięli legendarnego reżysera na garnuszek, gotując mu na knotach łojowych – jak poeta później wspominał – zepsute kartofle niemieckie z amerykańskim *beefem* i polską wędzonką. Przy tym ostro dyskutowano o sztuce. Schiller wkrótce włączył się do życia artystycznego obozu i właśnie prowadził próby dramatu



poetyckiego Przyłuskiego p.t. *Hiob*, kiedy armia amerykańska wyzwoliła oboz (29. IV. 1945).

Pobył w Murnau zaraził Bronisława Przyłuskiego bakcylem teatru na zawsze. Nie zniechęcił go ponury klimat powojennej Anglii, dokąd przybył w 1946 r. jako *dipis*. Pewnie jako mieszkaniec dziurawej beczki w obozie pod Leominster uważał, że teatr stanowi jedyną odtrutkę na nieustający kapuśniaczek i wszechogólną anglosaską szarzyznę. Na przekór wykorzenieniu i pogodzie szlifował stare wiersze, pisywał też nowe, urządzał spektakle, pochody, obchody i akademie, współinicjował parę inscenizacji. Gdy na wiosnę 1949 r. zwolnił się z wojska, pojechał do Londynu z myślą o pracy w teatrze emigracyjnym.



Bronisław Przyłuski, fot. Biblioteka Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Były to waleczne i bohaterskie lata polskiego teatru na obczyźnie, teatru - tak jak niegdyś teatr Wojciecha Bogusławskiego - wędrownego. Za 4 funty tygodniowo trzeba było wszystko umieć - nie tylko rolę. Jak pisze w szkicu autobiograficznym:

Rzemiennym dyszlem ruszyliśmy na Anglię. Sami budowaliśmy scenę, nosiliśmy dekoracje, przebieraliśmy się i

wreszcie gralismy. Po przedstawieniu rozcharakteryzowanie się, przebieranie, rozbiórka sceny i ładowanie na wóz. Coś przełknąć i jazda dalej. Niektóre przeloty mieliśmy po 200 mil. Odwiedzaliśmy zapadłe kąty, gdzie w beczkach gnieździli się Polacy dumni, że do nich przyjechał teatr. Grywaliśmy na scenach ze stołów, to znów na betonie hangarów. Dekoracje trzymały się na słowo honoru na drutach jak na pajęczynie. Dachy ciekły, światło gasło, a myśmy grali.

Dopóki grywano farsę i lekką komedię, publiczność dopisywała. Sytuacja się popsuła, kiedy zechciano przystąpić do ambitniejszego repertuaru. Właśnie na przedstawieniu składanki Słowackiego pt. *Listy do Matki*

...wywróciliśmy się gruntownie. Kasy mieliśmy coraz mniejsze. Obozy zawiodły zupełnie, wysyłały właściwie tylko delegacje. Pamiętam jeden obóz liczący 1000 mundurów, w którym ilość osób na widowni była mniejsza od ilości aktorów. Potem jeszcze jedna sztuka i jeszcze jedna i trzeba było myśleć o innym zajęciu.

W tych wczesnych latach powojennych Przyłuski grał w *Kwaterze nad Adriatykiem* Napoleona Sądka w reżyserii

Leopolda Kielanowskiego, wcielił się w Hrabiego D'Albafiorita w *Oberżystce* Carla Goldoniego. Celował w rolach amantów. Ale jeżdżąc zepsutym wozem Tespisa, nie rozstawał się z twórczością. Zaczynał pisać tym razem rzecz na scenę: *Pastorałkę* (w *Pastorałce* Schillerowskiej grał już w pierwszym „sezonie” w Murnau). Rozjazdy i spektakle rozpraszały go, wybrał więc pisanie. Na rzecz poezji Przyłuski niejednokrotnie zrzekał się pracy zarobkowej i żył z oszczędności żeby móc tworzyć w słowie, wracał do zarobkowania dopiero gdy sakiewka świeciła pustkami.

W ten sposób pewnego głodem grożącego dnia trafił jako tragarz do lochów pod gmaszyskiem hotelowym *Grosvenor House*. Tam wylądował w zakamarkach, dla eleganckich klientów zazwyczaj niedostępnych.

I jeszcze w dół, i jeszcze w dół. Fala dusznego smrodliwego gorąca objęła mnie jak sirocco. Byliśmy na dnie, na samym dnie, w kuchni. Olbrzymia hala pełna migających ludzi zziających, spieszących się i spoconych.

W tych podziemnych połączeniach poeta-oficer-zubożały szlachcic herbu Lubicz czyścił ruszty, mył kotły i zlewy, szorował posadzki.

Zwłaszcza szorowanie między rozpalonymi blachami wypija z człowieka resztki sił. [...] Jedyny odpoczynek to obieranie chłodnych kartofli. Toteż przy kartoflach zawsze był ścisk. Siadaliśmy w krąg w kartoflarni i moczyliśmy rozpalone ręce w chłodnej wodzie za każdym gotowym kartoflem.

Było jednak źle po awansowaniu na pracę w lodowni. Mroźne to piekło przedstawiało – jak na powojenną Anglię, wciąż jeszcze na kartki żywnościowe – krainę z bajki, pyszną martwą naturę nie dla wszystkich zapowiadającą ucztę Lukullusa.

Codziennie przychodziły kosze z dziczyzną i kurami; 3000 kur, pardwy, bażanty, gęsi, kaczki, cietrzewie, głuszce (głuszce wyglądały jak orły, ze złożonymi skrzydłami, z dziobami krzywymi jak haki – wielkie, ciężkie, półroczne ptaszyska spały u mnie na półkach między kurami obdartymi z piór i gotowymi w każdej chwili do garnka. [...] Poza tym bloki masła, sera, połcie boczku, płaty łososa, pstrągi, homary, raki...

Bieganie na każde wołanie zupiarzy, sosisarzy i pieczeniarzy, popychanie wózków załadowanych bananami, grejpfrutami i mrożonymi truskawkami, nie przeszkadzało w wykoncypowaniu

nowych wierszy, przeszkadzało tylko w zapisywaniu i szlifowaniu. Przyłuski znowu porzucił pracę zarobkową, a po wyczerpaniu kasy, wrócił do harówki fizycznej, tym razem w kolejce podziemnej przy stacji *Willesden Green*. Tam, niepomnie na huk i turkot żelastwa, wiersze mu wytryskiwały spod kół wagonów, zza zatraskanych drzwi wind, rodziły się pomysły zuchwałe, wręcz monumentalne.



Londyn, okolice stacji Willesden Green, stara pocztówka.

Pod tym względem zatrudnienie w szpitalu psychiatrycznym *Mabledon Park* stanowiło nienajgorsze rozwiązanie. Zaspakajało wymagania warsztatowe, zapewniało *minimum vital*. Leczenie nerwowo chorych polegało m. in. na ich uczestnictwie w



impresach kulturalnych. Jako świątlicowy Przyłuski organizował odczyty, zapraszał artystów, poprowadził teatr amatorski. Wkrótce doszło do prapremiery jego *Pastorałki Małoszowskiej*, wyreżyserowanej przez niego, z udziałem jego podopiecznych szpitalnych. W ocenie recenzenta, który zapamiętał to przedstawienie do końca życia, utwór został ujęty

jako rudymen tarne widowisko wiejskie, odgrywane przez kolędników i szopkarzy dla wiejskiej publiczności, (...) prymityw ludowy zobaczony oczami, ogarnięty uczulonym słuchem poety, oświetlony światłem tęsknoty, wzruszenia i zachwy tu.

*Pastorałka Małoszowska* nie opierała się wyłącznie na wspomianej tradycji z lat dzieci nnych. Przefiltrowana przez soczewkę przeżyć wojennych, wizja wigilijna Przyłuskiego była odarta z nadleciałości literackich figli, z scenek rodzajowych, z postaci utrwalonych w szopce krakowskiej czy w *Betlejem* Rydlowskim. Zwłaszcza postać Heroda nabiera realizmu i aktualności politycznej, a Śmierć występuje jako kronikarka-oskarżycielka, gdy przemawia do ludobójcy:

Pamiętasz miasta spalone,

Pamiętasz spalone wsie?

Zboże kulamiś siekł

I płomieniamiś płonął.

Pośród popularnych kolęd pastorałkowych, przeplatających się z łacińskimi tekstami liturgicznymi, doniośle brzmiała przepowiednia, składająca się na pacierz ówczesnego emigranta, że Nowo Narodzony

podniesie chorągiew między narodami

I zgromadzi wygnańców

I rozproszonych zbierze

Od czterech stron świata.

Spełnienia tej modlitwy Bronisław Przyłuski nie doczekał się. Chory na astmę zmarł nagle 11 kwietnia 1980 r. Za to w stulecie urodzin doczekał się pełnego zbioru wierszy pod redakcją Justyny Chlap-Nowakowej, ze wstępem Anny Frajlich (wyd. ARCANA).



Tymczasem - jadąc kolejką podziemną przez stację *Willesden Green* lub popijając herbatę pod żyrandolami *Grosvenor House*, warto sobie uświadomić że właśnie tam i w podobnych lokalach znajdują się katakumby polskiej poezji emigracyjnej.

---

# Pułapka Odysa. Wspomnienie o Zygmuncie Ławrynowiczu (1925-1987).



Mozaika przedstawiająca Odysa z eposu Homera, Muzeum Bardo, Tunis.

## **Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Kiedy Zygmunt Ławrynowicz przyniósł mi do druku w „Kontynentach” w 1963 roku swoje rozważania nazwane „Odys w pułapce”, nie przewidział, że użył pochopnie tytułu, że w przyszłości sam znajdzie się w sytuacji aż proszącej się o takie właśnie nazwanie.

Bo jego „Odys w pułapce” traktował głównie o pisaniu w diasporze, o znaczącej twórczości literackiej na emigracji. Chodziło o sens działalności na obczyźnie nie tylko pisarzy, którzy z Polski wyjechali już ukształtowani i pragnęli kontynuować swój fach, ale także o młodych, nie pamiętających swojej ojczyzny, a nawet douczających się języka za granicą, którzy też mieli ambicję pisać po polsku i potykać się w sztafecie twórców.

Te zagadnienia Ławrynowicz poruszył posługując się wypowiedziami Miłosza i Łobodowskiego. Obaj bowiem twierdzili, że twórczość w języku ojczystym jest możliwa gdziekolwiek, że nie jest ważny kraj zamieszkania piszącego.

Łobodowski przywołał wtedy losy ukraińskiego poety Małyniuka mieszkającego w Nowym Jorku. Komentował:

Potencjalnie każdy człowiek jest w stanie zdobyć się na przezwycięzenie swego losu. Każdy człowiek, więc tym bardziej, artysta.

Ławrynowicz rozróżniał tzw. dolę ludzką, sytuację człowieka w świecie, od sytuacji pisarza, który w oderwaniu od macierzy, usiłuje kontynuować ambitną twórczość literacką. Aktywność poety Małyniuka była dla niego

rozpaczliwym krzykiem Odysa, który wie, że nie dopłynie do Itaki i musi umrzeć na obcym brzegu z braku powietrza.

Na emigracji widział tylko pozory działalności.

Literatura postuluje autora, krytyka i odbiorcę, innymi

słowy, potrzebne jest jej żywe zaplecze rozwijającego się narodu, aby mogła w pełni zaistnieć. I musi to być twórczość dojrzała, bez taryfy ulgowej. Opiekuńczość prowadzi do mumifikacji, a więc do klęski duchowej.

Przewrót w literaturze, w poezji dokona się gdzie indziej, tu szelest papieru, w kraju oblicze poezji ukształtowali młodzi.

Emigracji wróżył:

Z małymi wyjątkami będzie to przykładem heroicznego grafomaństwa, poezja odcięta od swoich źródeł.

Powieści właściwej nie będzie. Ławrynowicz, podobnie jak wcześniej Darowski, nie wróżył żadnej przyszłości polskiej powieści na emigracji. Dowodził, że środowisko uchodźcze od środowiska tubylczego dzieli szklana ściana. Nie przenikają się wzajemnie. Uchodźcy, podobnie jak turyści, skazani są na wieczne oglądanie fasady. Nie dla nich są kulisy życia lokalnego.

Przyjrząwszy się doświadczeniom innych, Ławrynowicz konkludował:

Jest moim głębokim przekonaniem, że partycypować w twórczym życiu ludzkości za pośrednictwem słowa pisanego możemy tylko poprzez twórczy udział w życiu własnego narodu.

Młodym emigracyjnym pisarzom wskazuje jedynie okrojone możliwości. Nie dla nich lwia część literatury. Mogą próbować eseistyki, krytyki, przekładów. I widzi ich jak alpinistów, którzy w porywie młodego entuzjazmu bez oglądania się na trudności „wdarli się na skalną ścianę i utknęli w połowie”. Nie mają odwrotu, zaczynają rozumieć ogrom trudu potrzebny do pokonania tej góry. Nie wszyscy dojdą do szczytu. Ławrynowicz, sam zapalony alpinista, pisze dwuznacznie o ewentualnym zwycięstwie, o gorzkiej, bezużytecznej i nieprzydatnej wiktorii. Tacy śmiałkowie pocieszają się poczuciem, że od miernoty ocalili własne dusze.

W liście z 1972 roku, kiedy już byłem w Kanadzie, informował o innych kolegach z naszej grupy. O Czaykowskim wspominał:

Niestety woda sodowa zrobiła swoje. Przed paru laty był w Londynie i łaskawie spotkał się ze mną w knajpie. Sztywny i nadęty dał mi do zrozumienia, że o ile kiedyś byliśmy kolegami i pracowaliśmy wspólnie, to teraz wszystko już jest

inaczej i „każdy sobie” jak się wyraził. Pożegnałem go bez żalu.

Z kolei Czaykowski w opublikowanym liście do Marii Danilewicz Zielińskiej bardzo na Ławrynowicza wybrzydzał nazywając biadanie nad niemożliwością powieści na emigracji „impotentnym artykułusem”, a jego autora „rudą goryczą”, ciesząc się równocześnie, że „Kontynenty” pod moją redakcją się nie rozkręciły. „Nawet biskup Śmieja nie potrafi uczynić z nimi cudu”.

Dodam, że tylko kilkakrotnie odwiedziłem Czaykowskiego w Kanadzie z powodu odległości do Vancouver. Z czasem jednak te rzadkie „wizytacje biskupie” spotykały się ze stygnącą zachętą do nich, a nawet Busza też już nie znajdował czasu na spotkanie. Kiedy natomiast Czaykowski przybył do Toronto na fundowany wykład, był zaskoczony moją obecnością wśród szczupłego audytorium.

Nie wiem, czy czytałeś ostatnią wypowiedź Darowskiego w „Wiadomościach” informował dalej Zygmunt – gdzie ubolewa nad naszym ubóstwem kulturalnym i żali się, że w naszym języku, który tyle posiada nieharmonijnych zespołów spółgłoskowych, nie można stworzyć nic godnego uwagi. Są to, jak mnie się wydaje, żale niedouczzonego faceta, który



zafascynowany bogactwem języka angielskiego zwątpił w polskość... Rozmaici ludzie nagabują mnie, abym zaczął pisać po angielsku, ale na to nie pójdę, bo zbyt jestem związany ze swoim narodem.

I zdarzyło się, że ciskając się wśród niespodzianek niechcianego losu, Ławrynowicz znalazł się na owianej legendą greckiej wyspie Itace. O mitycznej Penelopie nikt już nie wspominał. Była natomiast „wysmukłonoga kobieta o oczach gazeli imieniem Helga, jasnowłosa pantera”. Powie o niej „ani ty Kirke, Kalypso czy Penelopa, masz własną duszę nieujarzmionej łani”. To greckie spotkanie znalazło dalszy ciąg w Walii. Szczególnie pamiętne były imieniny, które poeta tak zapisał:

były to imieniny

słodkiej pory życia

I nagle ta odurzająca wspólna radość się skończyła. Nastąpiło niewytłumaczalne milczenie. Niedawne zapewnienia ustały. Słodycz zamieniła się w piołun. Ukochane imię zaczęło budzić żal. Barwne „fatałaszki wspomnień” zastąpiło ciężkie milczenie. A jednak zawiedziony poeta czekał na znak, choćby cios ostateczny. Odeszła ukochana w szpetność snu.

Gdzie indziej, w utworze „I odpuść nam” wyznał

ozdrów sumienia ślepe, gdy pędząc na oślep za urokliwą kraską doczesnych przywidzeń padamy łatwo łupem zwodniczej syreny.

Dziś możemy jedynie domyślać się pod nieobecność świadectw czekających na publikację, jakie były koleje życia. Kiedy w 1975 w liście pisał:

Jadę do Walii Północnej w góry i mam szczerzy zamiar mocno przebierać nogami od Wielkiej Soboty do końca przyszłego tygodnia. Jeżeli przyjadą młodzi znajomkowie, będę dla nich przewodnikiem,

to ten lakoniczny przekaz był być może preludium do przełomowych wydarzeń w życiu Zygmunta.

Równocześnie z lamentem o epizodzie z Helgą „Trujące jagody”, Ławrynowicz wydał swoje skargi i lamenty w zbiorze „Anglo-Babilon”. Wśród inwektyw i żalów, w sztafarzu turpistycznych elementów napisał otwarcie charakteryzując siebie:



los obszedł się z tobą

po macoszemu

ani złota ani korony

nawet tej z liści

jakie czasem zdobią

czoła pieśniarzy

pomazańców ludu

.....

nie dla ciebie dom

w którym kobiece dłonie

porządkują niesforną

grzywę codzienności

Brak docenienia jego poetyki i uciążliwość życia bez towarzyszk, w połączeniu z pracą w znienawidzonym świecie interesów, stworzyły odludka, który dusił się w jadał pułapki, jaką jego samotność sączyła nieustannie.



Zygmunt Ławrynowicz, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL-u.

Komentatorom tekstów poetyckich Ławrynowicza chcę wyjaśnić, że fragment wiersza „Ośmielam się wadzić z Tobą” -

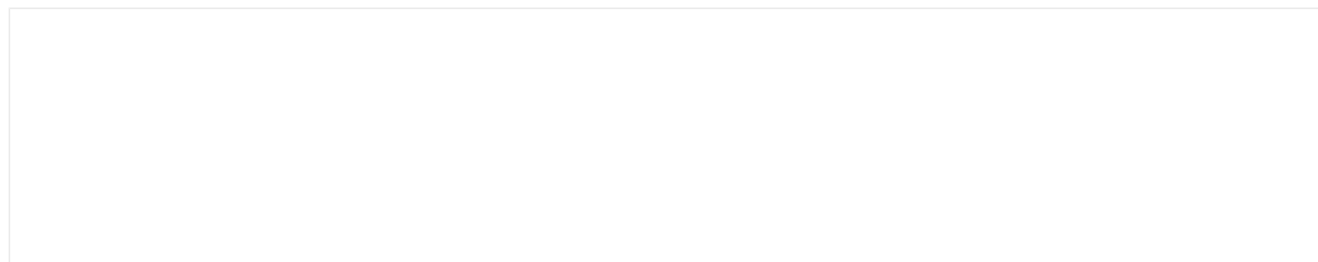
ośmielam się pytać ciebie Panie -  
słowami tego poety z Madrytu  
którego głos uwiązał jak cierń w sercu moim -  
dlaczego każesz abym gnił w tym mieście  
o wiele większym niż stolica Hiszpanii  
dla jakich ogrodów i pod jakie kwiaty  
przeznaczyłeś zgniliznę mojej duszy i ciała?

- mówi o poecie hiszpańskim Dámaso Alonso (1898-1990), którego wiersz tu wzmiankowany „De profundis”, przełożyłem i wydrukowałem w „Więzi” 7/8 w 1961 roku.

Modlitwa nie przyniosła Ławrynowiczowi ulgi, nie potrafił szukać ratunku u przyjaciół kompletnie nieświadomych tragicznej sytuacji psychicznej poety. Przesycone retoryką wołania o milionach twarzy i ani jednej przyjaźni potraktowano jako poetycką przesadę. Podobny los spotkał otwarte wyrzuty:

Zabrakło dla ciebie miejsca

przy pulsującym korycie



nikt nie pamiętał o tobie

kiedy przydzielano dziewczyny

fotele, nagrody i odznaczenia

Nie potrafił się pogodzić z tak niesprawiedliwie przeznaczonym losem Bo wedle swojej opinii pozostał

nieznany nikomu

i mało potrzebny

Miał o to żal i w swoich modlitwach nie umiał okazać prawdziwej, skutecznej pokory, nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie otrzymał łaski rozumienia, łaski przyjaźni i miłości, o którą prosił, o piękno prawdy. Na nic zdały się błagania, gdy usiłował „łatać podartą duszę”. Oglądał innych ludzi radzących sobie ze światem, przyjmujących rutyny i inne hańbiące obrzędy.

Tacy ludzie chwalili swój chleb codzienny „z plastyku”.

Jego świat spokojny

uporządkowany

zbilansowany

ubezpieczony

godny pochwały i emerytury

jest filarem tego innego świata

w którym dzieją się sprawy

o których on nie ma pojęcia

więc sen ma niezakłócony

i skromne marzenia

Oni nie cierpią na rozterkę jego serca i tęsknotę nie dającą się ukoić, przeczuwającego najgorsze:

u kresu drogi

głodny

samotny

i nagi

pod niebem milczącym

nad zastygłą ziemią

Dumne odrzucanie codzienności spowodowało utknięcie na nieprzyjaznej ścianie skalnej. Nie doczekał się ratunku, padł ofiarą nieużytego losu. Znalazł się w pułapce bez wyjścia. A żalił się w jednym z listów

Z melancholią rozważam, ile to lat przemarnowałem zarabiając pieniądze po to, aby mieć z czego żyć i równocześnie nie mieć czasu ani możliwości, żeby żyć naprawdę.

Nie doczekał spełnienia się gorącej modlitwy:

proś na kolanach

o łaskę powietrza

w zatęchłych zaułkach

gasnącego wieku

o łaskę miodu

co beczki goryczy

przemienić zdoła

w ucztę galilejską

pustynie ludzi

w winnice aniołów.

---

**Zygmunt Ławrynowicz** polski poeta emigracyjny, tłumacz poezji i prozy, publicysta i redaktor pism, urodził się na Litwie Kowieńskiej i tam spędził młodość, kończąc gimnazjum w Poniewieżu. W 1943 roku został wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec skąd zbiegł przez Jugosławię do Wielkiej Brytanii. Studiował ekonomię i nauki polityczne w University College w Dublinie, a od 1952 roku pracował w banku Loyds w Londynie. Następnie został redaktorem „Życia akademickiego” (1953-1954). Należał do redakcji „Merkurjusza Polskiego”, a w latach 1958-59 współredagował „Życie” i współpracował z „Więzią”, i „Kontynentami”. Był współtwórcą



*grupy poetyckiej „Kontynenty” (1959-1964). Znał biegle co najmniej osiem języków i dzięki temu znakomicie orientował się w literaturze światowej. Zmarł młodo i nagle w Londynie w 1987 r. (na podst. Wikipedii).*